

RODZINA ALVAREDA.

Nowella hiszpańska p. Fernana Caballero.

PRZEŁOŻYL

Władysław Milkowski.

(Ciąg dalszy).

II.

Z jesienią nastały dni krótsze, a zima do drzwi kołatała skostniałemi rękoma. Właśnie robotnicy powracali z pola do mieszkań, słońce ostatki bladych promieni rzucało na ziemię.

Peryko szedł powoli za oślicą; wyprzedzał go Melampo, starający się z większą jeszcze od swjej towarzyszki i przyjaciółki wystąpić powagą. Biedne zwierzę z przestachem przypominało sobie napad Francuzów, chociaż od owjej chwili sześć już lat minęło. Wtedyto bowiem chcąc swe panie ocalić, nasza oślica biegła z całych sił, pierwszy raz w życiu. Gdyby znała choć potrosze obcą literaturę, z czego dziś wielu szuka chluby, co słyszą że dzwonią, ale nie wiedzą w którym kościele, rzekłaby niezawodnie do Melampa na swą obronę, że dziki rumak, do którego przywiązano Mazepę był zółwieniem zaledwie w porównaniu do niej w pamiętnym owym wypadku. Dotychczas jeszcze nie zdołała sobie wynagrodzić tego trudu.

Nasza trójka zbliżała się już do domu. Wtém dwoje zachwycających dzieciaków zabiegło drogę Perykowi. Nagle, dzwięczny, uroczysty głos dzwonka zwiastował modlitwę. Peryko zatrzymał się i zdjął kapelusz. Oślica i pies, przy-

wykli oddawna do tego dźwięku i znający go dobrze zatrzymali się również; dwa aniołki także stanęły nieporuszone.

Odmówiono „Anioł Pański:“ dzieci przybiegły do ojca i zawołały:

— Tato, daj rękę.

— Oby Bóg Wszechmocny zlał na was swą łaskę — rzekł, błogosławiąc je, Peryko.

Melampo, który już sobie usiadł, przypatrywał się téj scenie widocznie z wielkiem zajęciem.

Chłopczyzna który koniecznie się napiérał, żeby go ojciec wsadził na oslicę, zapytał dlaczego trzeba się zatrzymywać, kiedy dzwonią na paciérz?

— Alboż nie pamiętasz — odrzekła mu siostrzyczka Angelita — o tém, co mówiła ciocia Elwira: że jak tylko nadejdzie godzina poświęcona czci Najświętszej Panny, nasi aniołowie stróże zatrzymują się na znak uszanowania, zatém, gdybyśmy szli dalej, zostalibyśmy sami i bez nich?

— Ach prawda! siostrzyczko — odrzekł Angel — uderzając z całych sił oslicę różgą; na szczęście cierpliwe zwierzę nie obraziło się tém bynajmniej.

Sześć lat minęło z okładem od wypadków w pierwszej części opisanych. Rzeczy pogorszyły się podwójnie, raz, przez pamięć nieszczęsnój Marcelli, która straciła zmysły gdy spostrzegła ze swéj kryjówki obelgę, wyrządzoną ojcu przez grenadyera francuzkiego, i zemstę jaką na nim wywarł Ventura, powtóre, z powodu nagłej ucieczki tegoż przez pola, i odtąd nie wiadano, co się z nim dzieje.

Wszyscy go jak umarłego opłakiwali, chociaż powodowani przyjaźnią dla Pedra i miłością dla Elwiry, kładli im w uszy słowa nadziei, której już nie żywili we własném sercu. Czas wszelako ukoił ból ich nieco. Z ust Pedra odtąd jednakowoż, zamiast wesołych, ciągle powtarzanych piosenek i zwykłych pustot, często słyszałeś wykrzykniki: mój biédny syn! moja biédna córka!

Elwira gasła w milczeniu, jak lekkie chmury, co zamiast opadać na ziemię w postaci deszczowych potoków, wznoszą się coraz wyżej i wyżej, aż nareszcie powoli nikną z przed wzroku w niebios przestworze. Nie skarżyła się nigdy, a imię Ventury, Ventury którego uważała za towa-

rzysza dozgonnego i danego przez kościół, z ust jój nie wyszło więcej.

— Robak zatruwa jój życie — mówiła Anna do swego syna Peryka — wszyscy wy tego nie spostrzegacie, ale ja się nie myślę.

— Ależ matko — odpowiedział Peryko — zładze to wnośysz? wszakżeż nie skarżyła się nigdy.

— Nie, mój synu, nie; lecz matka słyszy córkę, nawet gdy ta milczy.

Ryta i Peryko byli szczęśliwi, bo Peryko miał serce dobre, łagodny i zgodny charakter. W rok po ich małżeństwie, urodziło się Rycie dwoje bliźniąt. Przy ich powiciu byłaby umarła, gdyby nie czułe a troskliwe starania męża i wszystkich domowników. Długo jeszcze potem była słabą ale w czasie, w którym naszą opowieść rozpoczynamy, zupełnie już była wyzdrowiała, a na jój twarzy rumieńce zdrowia i młodości żywiej i świetniej jeszcze błyszczały. Wieczorem tegoż dnia, wszyscy się zgromadzili.

— Najświętsza Panno! — rzekła Marya jakążto okropną burzę mieliśmy wczoraj w nocy; takem się przełękla, żeś się trzęsła z całym łóżkiem. Przywiodłam sobie na pamięć wszystkie grzechy i pokornie wypowiadałam się z nich Stwórcy. Tak Go błagałam, że zdawało mi się jakoby się pobudzili wszyscy święci; modliłam się głośno, gdyż słyszałam że w okolicach do których dolecieć może głos paciérza, piorun całą swą moc utracą. Dopiero za nastaniem jutrzeńki, kiedym tęczę zobaczyła, upewniłam się, że to było świadectwo, jakie Bóg dał ludziom, że nie będzie ich już więcej karał potopem. Panie Jezu! dlaczegóż więc nieszczęśliwi śmiertelnicy nie drżą przed tém upomnieniem Najwyższego?

— Nacóżby mieli, matko, drżać przed rzeczą tak naturalną? — przemówiła Ryta.

— Naturalną! — odparła Marya — może powiesz że zaraza i wojna są téż rzeczą naturalną? Wiész-że ty co piorun? Słyszałam z ust człowieka uczonego, że to jest podmuch *wiatru podnieconego gniewem bożym*. A grzmot? Grzmot, mówił, jest głosem gniewu boskiego, i powinniśmy się bać Wszechmocnego, nadewszystko wtedy, gdy grzmoty zsyła. Tak więc dzieci moje, nie zapominajcie nigdy, że burza jest przestrogą Stwórcy, przypominającą nam, że On pobił

cierpliwie ułomnościom swych stworzeń, ale jest także gotów je ukarać.

— Deszcz przyszedł w samą porę, matko Maryo—rzekł Peryko—ziemia tak bardzo była spragniona!

— Ziemia ma zawsze pragnienie—mruczała Ryta—ale jak widać, nigdy się nie zasyci.

— Ojcie—powiedziała Angela—czy wiesz com śpiewała dzisiaj, widząc krople deszczu spadające na sadzawkę? I śliczna dziecina zaczęła śpiewać:

O wodo boska! zdroju chrześcijański!
Jakże odżywasz kwitnący sięw Pański!

— Dosyć, dosyć—przerwała Ryta—kraczesz za dwie sroki, a nudzisz jak lukrecya.

— Mamo, czy możemy się w co bawić?—zapytał chłopczyk.

— Baw się z kocim ogonem—odparła Ryta, zaledwie powstrzymując swoją niecierpliwość.

— Babciu—rzekła wnuczka—powiedz mi przypowiestkę a ja ci za to wydam katechizm, czy dobrze? Posłuchaj: trzech jest nieprzyjaciół duszy: czart, świat i ciało.

— To ostatnie bardzo mi się podoba!—zawołał Angel.

— Cicho bądź, malcze—odparła dobra Marya; nie idzie tu o mięso do gotowania.

— A o cóż więc babciu?—spytało dziecię.

— Idź zaraz uczyć się abecadła, a jak podrośniesz, odniesiesz korzyść z tego coś się nauczysz. Zresztą czy wiesz o tém że twe ciało, to znany twój szkaradny apetyt właśnie robi cię takim żarłokiem, a że obżarstwo jest grzechem głównym?

— Jest ich siedem—rzekła skacząc wnuczka, i wyliczyła je bez odpoczynku.

— Ja, babciu—odparł Angel—wiem że są trzy osoby boskie, a jeden Pan Bóg: Bóg Ojciec, Bóg Syn i Duch Święty, który jest gołębiem.

— Jakiś ty głupi!—zawoła nań matka.

— Moja córko—odparła Marya—nikt się nie rodzi mądrym. Dziecko moje, gołąb jest tylko symbolem, Duch Święty jest Bogiem jak Ojciec i Syn.

A każde dziecko chcąc pokazać co wie, ciągnęło do siebie biedną babkę.

— Ja umiem przykazania boskie—rzekło jedno!

— A ja, przykazania kościelne—rzekło drugie.

— Ja umiem Siedem Sakramentów.

— A ja dary Ducha Świętego.

— Ja umiem....

— Ach! prędkoż to skończycie?—zawołała Ryta wgniewie—czyż chcecie nam powtarzać cały katechizm? Alboż to jesteśmy w jakiej izbie szkolnej? zaprawdę byłoby to piękną rozrywką!

— Czyż to być może?—przerwała z boleścią Marya, zachwycona wnuczkami, popisującemi się ze swą maluczką wiedzą—czyż to być może, Ryto, aby ci nie miło było słuchać słów boskich i to jeszcze z ust własnych dzieci? Pomnę, gdyś pierwszy raz, wydała mi bez zmyłki „*Ojciec nasz*,” łzami się zalałam.

— Najniezawodniej—odpowiedziała Ryta;—matka możesz płakać nawet w tańcu.

Dobra staruszka zamilkła, a zwracając się do dzieci, rzekła:

— Tak jestem z was zadowolona i z tego, że tak dobrze umiecie katechizm, iż postanowiłam opowiedzieć wam najpiękniejszą, według mnie, historyjkę.

Dzieci usiadły na prostym stołku, naprzeciw babki, a ta zaczęła w te słowa:

„Kiedy anioł oznajmił patryarsze Józefowi, aby uciekał do Egiptu, nasz święty wsadził na osła Dzieciątko i Matkę i wszyscy udali się w drogę przez nieuprawne pola i lasy.

„Kiedy zabrnęli w największy gąszcz leśny, Najświętsza Panna lękała się, droga bowiem ciemna była i samotna. Jak raz też wyszli z groty zbójcy i rzucili się na świętą rodzinę. Zsiadali właśnie gdy przybliżył się do nich herszt zbójców, imieniem Dimas, spojrzał na dziecko i uczuł jakby cios w serce wymierzony. „Ktokolwiekby ośmielił się dotknąć sukni tej Senory lub dziecka tego, ze mną będzie musiał się rozprawiać!” A obracając się do świętych małżonków: „Oto noc zapada, rzekł, a i na burzę się zanosi. Chodźcie za mną, a ja was ugoszczę. *Bandolero* (1) przygotował im

(1) Rozbójnik, łotr.

jeść i pić, a święta rodzina przyjęła to, gdyż Bóg nie odrzuca ofiary złych nawet ludzi. Dlatego też nieustannie Go błagajcie, nawet gdybyście byli w grzechu śmiertelnym. Nie zapominajcie że *bandolero* na śmierć skazany znalazł miłosierdzie u Boga, gdyż żałował w chwili śmierci na krzyżu, a żalność ta była jego pokutą, jak ofiara Chrystusowa. Został chrześcianinem i wszedł pierwszy do królestwa Niebieskiego wedle obietnicy Zbawcy, co krew swą przelał za niego."

Wiatr tymczasem dał przeraźliwie; drzwi skrzypiały jakby niewidzialną siłą poruszane, a stare drzewo pomarańczowe ugięło się z szumem.

— Jeżeli to dłużej potrwa—rzekł Peryko—nie zostanie nic na ziemi.

— Co za dészcz!—dodał Pedro—leje jak z cebra. Całe pole zalane wodą jakby strumieniem.

— Czy widziałeś—rzekła Angela do brata—jak chmury przesuwają się dziś wieczór, jakby charty?

— Tak, ale dokądże to one dążyły?

— Do morza, po wodę.

— To w morzu tak wiele jest wody?

— O! więcej niż w sadzawce wuja Pedra.

— Szum wiatru, wydaje mi się—rzekła Marya—głosem złego ducha; straszy okropnie.

— Wszystkiego się boisz matko—pomruknęła Ryta—i nie wiem kiedy się uspokoisz. — No! udusisz mię, dodała odpychając swego synka, który się oparł na nią; idź spać, bo cię zjem.

Dziecina napół śpiąca, straciła równowagę. Elwira wydaje krzyk; Peryko rzuca się ku niemu i zatrzymuje go w swych objęciach; wrzeczono wymyka się z rąk Anny, która go podjęła nie rzekłszy ani słowa.

— Kiedy je stracisz—rzekł Pedro z oburzeniem—nie będziesz tak opłakiwać jak ja swoich: jestto, bezwątpienia przewaga, którą masz nademną.

— Jeito żywość trzyma mię zawsze jak na rozżarzonych węglach, tak, jój żywość—przerwała Marya.

— Tak więc, matko Maryo—dodał prędko Peryko, chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot—lękasz się wszystkiego. Czy także obawiasz się czarnoksiężników?

— Nie, tego to nie, mój synu; religia chrześcijańska zabrania nam wierzyć w czarodziejów i czary: ale lękam się wszystkiego, co Bóg dopuszcza na ludzi, zwłaszcza rzeczy nadprzyrodzonych.

— Alboż to mogą być jakie cuda? Czyś kiedy co nadprzyrodzonego widziała?—zapytała Ryta.

— Czy są! i ty o tém śmiałaś wątpić?

— Dlaczegożby nie?

— Jakto! przecyzysz, że dzieją się rzeczy nadzwyczajne?

— Tego zaprzeczać nie myślę i do nich zaliczyłabym chętnie, np. (gdyby się znalazł jeden choćby) każdy dzień, w którymbyś mi nie kładła w uszy perory jakiej; ale, żeby rzeczy nadprzyrodzone istniały, nie wierzę: podobną jestem do świętego Tomasza.

— Możesz się z tém pochwalić! Szkoda, że jeszcze nie mówisz, żeś podobna do św. Piotra zdradzającego swego boskiego mistrza.

— Ale nie o to tu idzie, Senora; powiedz czyś aby świadkiem była jakiego cudu? bo wszystko przyjmujesz jeno na wiarę, a okręt gotowaś wziąć za rekina.

— W istocie, jakbym widziała na własne oczy.

— Opowiedz nam to, ciotko—prosiła Elwira.

— Córkó moja—ciągnęła Marya zwracając się ku synowicy—zaraz ci powiem, co się przytrafiło hrabinie Villoran, która mi sama to opowiadała, gdyśmy byli dzierżawcami w jój *haciendas* (1) Quintos.

Pobożna ta pani zwykła była zawsze zamawiać mszę za skazanych na śmierć w chwili gdy ich tracono; ale kiedy słynny Vellico przebiegał wzdłuż i wszérz okolice i mnóstwo popełniał gwałtów, oburzona hrabina poprzysięgła, że jeśli będzie uwięziony, nie zrobi dlań tego, co dla innych zbrodniarzów robiła. Tak się téż stało: Vellico wstąpił na szafot, ale mszy nie odprawiono.

W jakiś czas potém, kiedy hrabina spała spokojnie, przebudził ją nagle smętny głos—jakiś wołający na nią po imieniu.

Przestraszona wybiegła z łóżka, lecz mimo światła lampy, niczego dojrzyć nie była w stanie. Po kilku chwilach trwogi usłyszała ten sam głos wymawiający jój imię; a nim

(1) Posiadłości, włości.

biédna pani zdołała wyjść z osłupienia, głos dał się słyszeć po raz trzeci, na podobieństwo tłumionego westchnienia, co wybucha i niknie w dali, nawołuje i przypomina się bezustannie.

Hrabina zadzwoniła: wszystka służba przybiegła i zastała ją niespokojną i przestraszoną; ale głosu nikt już nie usłyszał.

Dnia następnego, w kościele, w czasie mszy za duszę straconego zbrodniarza świece gorzały na wszystkich ołtarzach; a hrabina klęcząc w świątyni, modliła się gorąco. Bo łaska boska, nie to co ludzka, nie wyłącza nikogo. A teraz, co myślisz, Ryto?

Wszystkich do głębi wzruszyło opowiadanie Maryi, gdy nagle jak mróz na kwiaty, spadła na nich odpowiedź młodej kobiety, która ziewając, wyrzekła:

— Myślę, że hrabina marzyła.

— Tam do kata! jakaż niewierna!—zawołał wuj Pedro. Ta Ryta skończy jak ów *Lucero*, który, jak mówią kaznodzieje, odłączył się od kościoła.

— Ave Maria! Pedro, nie mów tego,—krzyknęła czuła matka—powiedz raczej: jaki upór! gdyż ona jeno tak mówi by mię przestraszyć.

Hałas jaki się dał słyszeć przy wrotach, zamknął usta Maryi.

— Chryste Jezu! co to?—zawołała nakoniec.

— O! nic, matko Maryo—odpowiedział śmiejąc się Peryko. Cóż chcesz, żeby było, ot wiatr, i basta.

— Mamo — szepnęła Angelita — dźwięcznym głosem—otul mnie suknią, jak tata Angela — boję się!

— Wybornaś! jeszczeby tego brakowało—odpowiedziała Ryta, wpadając w zły humor. Wynos się senorita, i pamiętaj, żebyś mi się na oczy nie pokazała przez cały wieczór.

— Chciałbym wiedzieć—odparł Peryko po chwili milczenia—czy ci, co tak się śmieją z cudzej bojaźni, nie zaznali nigdy co to przestрах.

— Peryko, Peryko,—wołała zaniepokojona Marya—coś hałasuje na dworze.

— Ależ, matko Maryo—odpowiedział tenże,—strasznieś bojaźliwa! byle co cię zatrzyma. Alboż nie widzisz, że to okap na dachu szeleści.

— Co? strach?—ciągnął Pedro półgłosem i jakby mówił do siebie—odkąd ten ślad krwi w mym domu...

— Pedro, Pedro, czyż wiecznie będziesz do tego powracał? Chcesz-że odnawiać naszą boleść? Na cóż się przyda powracać do przeszłości, minęła bezpowrotnie i na nią nie masz już lekarstwa!—rzekła Anna.

— Widzisz, Anno, cięży mi moje cierpienie, i potrzebuję zrzucić ten ciężar z serca. To, że jestem samotny, sam bez żywej duszy we własnym domu, to mię do rozpacz doprowadza! Posłuchajcie: często bardzo w nocy, kiedy dokoła najzupełniejsze panowało milczenie a sen uciekał z mych powiek, widziałem go, widziałem tego grenadyera, którego mój syn zabił; widziałem takim, jakim go znałem za życia, w szarym płaszczu, w futrzanej czapce, jak wychodził ze studni, do której go wrzucono, wchodził do pokoju, gdzie go zabito i szukał śladów swjej krwi. Widzę go przed oczyma: wysoki, nieruchomy, straszny...

W téjże chwili drzwi otwierają się na ścięgaj, a na progu zjawia się osoba wysoka, nieruchoma, straszna, w szarym płaszczu i w czapce grenadyera.

Wszyscy przerażeni, bez ruchu, a głos zamarł w piersi.

— Pod Twoję obronę!—zawołała Marya.

Angel schronił się na kolana ojca, a Angelita za babcię.

— Ventura!—szepnęła Elwira, a oczy jój się zamknęły i upadła w objęcia matki.

Melampo, wesół, jak tylko mógł podskakiwał i obsypywał swego pana pieszczotami.

W jednéj chwili poznała Venturę żona, która nigdy o nim nie zapomniała i pies, który nie zna, co to niewierność.

Z szybkością błyskawicy podniósł się Pedro; lecz starzec zachwiał się i byłby upadł, gdyby Ventura, rzuciwszy płaszcz i czapkę, nie pochwycił go w swe objęcia. Łatwiej jest bezwątpienia zrozumieć i odczuć, niż wyrazić i odmalować następującą scenę niewypowiedzianego nieładu, w której mieszały się z sobą przyspieszane słowa, wykrzykniki z niespodzianki, podziękii Bogu i łzy radości.

Kiedy Ventura nakoniec uwolnił się z objęć ojca, który zaledwo wierzył swym oczom, że własnego syna przyciska do serca, zwrócił wzrok swój na Elwirę, którą podtrzy-

mywała matka, dając jój do wążania chustkę, umaczaną w occie. Rozczulił się młody żołnierz, a błyszczące jego oczy posmutniały nagle i z otwartą szczerością człowieka, co był w obozie, rzekł do niej:

— Czyś słaba, Elwiro?—zmieniłaś się bardzo.

— Teraz ozdrowieje—zawołał Pedro, któremu dawny wesoły humor powrócił. Twoja nieobecność, Ventura, i niepewność gdzie się obracasz, były tego przyczyną; czyż potrzeba było większej? I dlaczegożes to, boskie stworzenie, nie dał żadnej, choćby najmniejszej wiadomości o sobie?

— Ależ, przecie mój sierżant—odrzekł Ventura—pisał do was najmniej ze sześć razy. A potem, popędzili mnie do Francyi, byłem jeńcem... lecz długoby o tém gadać... Jak doskonale wyglądasz Ryto—dodał, zwracając się ku niój.

Jak tylko Ventura wszedł, Ryta nie spuszczała zeń oka: jego wasy, mundur i wojskowa postawa cudowne jój się wydawały.

— Ho! jaka się to z ciebie zrobiła piękna i wielka dama; dobrze cię widać żywi Peryko? A ty, Peryko, zawsze uprawiasz ziemię! To wasze dzieci! o! jakże śliczne! niech ich Bóg zdrowiem i błogosławieństwem darzy! Przybliźcie się do mnie, moje klejnoty, ja nie jestem ani Francuzem, ani Gargantua (1).

I usiadł, chcąc się z dziećmi popieścić.

Tymczasem dobra Marya, zbliżywszy się doń z tyłu, położyła mu na głowie obie ręce i długo okrywała pocałunkami i łzami.

— Ciotko Maryo—mówił przerwami Ventura—niezawodnie modliłaś się za mnie. Założyłbym się, żeś odmówiła więcej jak sto nowenn i żeś uczyniła z jakie tysiąc ślubów najmniej.

— Tak, mój synu, tak, i zaraz jutro sprzedam najpiękniejszą kure, i dam na mszę do św. Anny.

— Ciotko Anno, co tak upornie milczysz, czyliż nie cieszysz się widząc mnie wracającego?

(1) Gargantua jest sławnym bohaterem znakomitej satyry napisanej à la *Don Quichot* przez Fr. Rabelais'go p. t.: *Vie, faits et dits-héroïques de Gargantua et de son fils Pantagruel*.
(Przyp. tłum.).

— O i jak jeszcze!—odpowiedziała wdowa—lecz całą uwagę zwróciłam na Elwirę. Bóg mi świadkiem, jakem rada z twego powrotu, dodała patrząc na bladą twarz córki: gotowam na wszelkie ofiary dla przyjemności mojego dziecka.

— O zapewne—zawołał Pedro—ta ofiara będzie nam wszystkim przyjemną, wyjąwszy moich koziołków i twych kur, które padną ofiarą kiedy naspraszamy przyjaciół.

— Nie śpiesz się tak—odrzekła Anna śmiejąc się—wesele kumie przygotować, to nie pieczeń upiec.

— No, każdy owoc do swego drzewa, każdy ptak do swego gniazda—rzekł Pedro wstając. Mości panowie, jest na ulicy okno zakratowane, któremu przykrzy się samotność.

— Téj nocy, wuju Pedro—dodała Ryta z przeciągłym uśmiechem—smutki przepadną razem z Francuzami, i już, ani jedno, ani drudzy nie powrócą.

— Amen, amen, taką mam nadzieję!—odpowiedział wesoły i uradowany starzec.

* * *

Na zebraniu dnia następnego Ventura przyprowadził z sobą pieska, czarnej połyskliwej sierci, zwanego *Bębnem*. Zaledwie się pokazał, umyty, uczesany jak najwytworniej, aliści Melampo przyjął go groźnie i jedném uderzeniem łapy przewrócił na ziemię.

Napróżno Peryko go bił, a Ventura kopał nogami, na próżno Pedro rzucał mu kapelusz, a kobiety krzyczały na niego, Melampo stał groźnie i warczał; lecz gdy Angel przybiegł doń, pieszczotliwie objął go rączkami i krzyknął mu w ucho: „Paskudny! a do budy!” Melampo porzucił niespodziewaną zdobycz i cofnął się ze łbem zwieszonym, jakby zawstydzony zwycięstwem słabszego. Położył się w kącie i odwrócił mordę do muru, nie chcąc być świadkiem pieszczot, jakimi obsypywano psa o trefionęj i wygolonęj na grzbiecie sierci, z grzywą, której długie kudły były zawinięte i ogonem kiściastym: wszystko to wielce obrażało naszego Melampa.

— A najprzód—zaczął Peryko—powiedz mi z łaski swój, Venturo, jakim sposobem wczoraj się zjawiłeś, jakbyś spadł z nieba, kiedy ci nikt wrót nie otworzył.

— Nic łatwiejszego—odrzekł Ventura. Skorom tylko przybył, pobiegłem do domu; ciotka Curra, której ojciec mój daje mieszkanie, aby o nim miała staranie, otworzyła mi; a chcąc koniecznie przybyć do was z nienacka, przeskoczyłem przez mur na podwórze, jak za dni dziecięcych.

— Miałam słusność—mówiła Marya—mówiąc że ktoś sfuka i chodzi po podwórzu.

— Teraz—rzekł Peryko—rozpowiedz nam swoje przygody; czy byłeś raniony?

— Czy był raniony!—zawołał wuj Pedro—odkryjcie mu pierś, a zobaczycie głęboki znak kuli, która tą razą nie tknęła go wcale, dzięki guzikowi; ot patrz jak go kula spłaszczyła. Spójrz mu na ramię, na tę bliznę...

— Ale, co to o tém gadać, biedny ojcie—odparł Ventura—kiedy się wszystko wyléczyło? Ocalony—ciągnął dalej—szedłem w stronę rzeki i przybyłem do San-Lucar, gdzie wsiadłem na okręt płynący do Kadyksu. Tu wstąpiłem do pułku gwardyi, zostającego pod dowództwem księcia del Infantado; zaprzyjaźniłem się ze znakomitym i starożytnego rodu żołnierzem i pokochaliśmy się jak bracia. Niedługo potem wysłano nas morzem do Taryfy, mieliśmy bowiem zająć tył Francuzom, kiedy Anglicy napadali na nich z przodu. Potrójne to usiłowanie spowodowało bitwę pod Barrosą, w której nieprzyjaciele pierzchnęli ku Herez, a my zostaliśmy pannami ich stanowiska.

— Daléjże! wykrzyknąłem do mego przyjaciela, rzućmy się w sam środek boju, trzeba wyrwać tego pysznego orła, co go ten Francuz tak dumnie w górę podnosi, że mi aż wzrok razi. — Daléjże! odrzekł, i nie poleciwszy się ani Bogu ani djabłu, poskoczyliśmy do chorążego; towarzysz mój zabił go i wyrwał mu obrzydłego ptaka: lecz w mgnieniu oka otoczyli nas Francuzi, chcący swój sztandar odebrać. — Oho, nie dostaniecie go: złapany ptak z klatki nie uciecze; *Pepe Botillas* (1) i *Napoladro* powinni by osobiście go poszukać. Złożyliśmy go pod drzewem i powiedzieliśmy im: „Teraz! odebrać sprobujcie.“ Przyszli, (bo te djabły są to zuchwałe sztuki: choćby walczyli w złej sprawie, nic im to nie szkodzi),

(1) Lud mawiał że Józef Bonaparte podpijał sobie, i z tego powodu nazwano go *Pepe Botellas* (Józef-butelka).

zabili mego biednego przyjaciela, a pewnieby i mnie nie darowali, lecz zmuszony byłem ustąpić tak przemagającej liczbie. Ptak ten mocno mię jednak obchodził. Lecz dzięki Bogu, nie mógł już więcej śpiewać po francuzku Mambru. Nasi przybyli i nieprzyjaciół pokonano. Ale ja leżałem ranny. Nigdy nie sądził, że mam tyle krwi w żyłach! Zanimiesiono mnie z orłem przed pułkownika. Ten powinszował mi i obiecał krzyż św. Ferdynanda za złapanie ptaka. „Nie ja pułkowniku— odrzekłem— lecz mój przyjaciel który umarł...” wtém straciłem przytomność. Kiedy przyszedłem do siebie, byłem w szpitalu. O krzyżu zaś nie było już nigdy mowy.

— Sameś sobie winien—rzekła Ryta;—dlaczegoś się tak odzywał do pułkownika?

Ventura spojrział na Rytę z zadziwieniem, jakby nie pojmował, co chciała powiedzieć.

— Zrobiłeś co ci powinnoś nakazywała,—zawyrokował Pedro;—kończ.

Łza zaświeciła na licach Elwiry.

— Jeszczem zupełnie był nie wyzdrowiał, kiedy nas zawieziono do Huelva i wziąłem udział w bitwie pod Albuera z dywizyą marszałka Soult. Nieco później francuzi wzięli mnie do niewoli, lecz wymknąłem się im i zaciągnąłem się do wojska w Grenadzie, którém dowodził książę del Parque i ztamtąd ścigałem nieprzyjaciół aż do Pirenejów. Powróciłem następnie do Madrytu, gdzie otrzymałem uwolnienie od służby.

— Prawda, Venturo—rzekła Marya—żeś więcej świata przebiegł, niż bociany.

— Nie zupełnie—odpowiedział Ventura—lecz go dobrze zwiedziłem. Byłem bardzo daleko z generałem la Romana, w kraju gdzie ziemia niby płaszczem pokrywa się śniegiem tak gęstym, że niekiedy giną wśród niego ludzie.

— Maria Santissima! — mówiła drżąc pocziwa ko bięcina.

— Ale za to dobrzy ludzie tam mieszkają!

— O! kiedy tak, niech ich Bóg błogosławi!

— W tym kraju nie masz wcale oliwy, i nie jedzą czarnego chleba.

— Byłoby to dla mnie niekoniecznie wygodnie: mogę się obejść bez wielu rzeczy, lecz potrzebuję zawsze najlepszego chleba.

— A jakąż zupę można zrobić z czarnego chleba bez oliwy?—rzekła Marya.

— Oni nie jedzą zupy—odpowiedział Ventura.

— A cóż jedzą?

— Jedzą kartofle i mléko.

— Niechaj im to będzie z wielką korzyścią dla żołądka!

— Co gorsza, ciotko Maryo, w tym kraju nie ma ani mnichów, ani zakonnic.

— Co mówisz, mój synu?

— To, że jest tam mało kościołów, a wszystkie są podobne do wielkich domów próżnych, bez sprzętów, bez kaplic, bez ołtarzów, bez obrazów i bez Najświętszego Sakramentu.

— Jezu Chryste!—krzyknęli wszyscy razem prócz Maryi, osłupiałej i nieruchomej jak posąg; lecz po chwili, i ona składając ręce jak do modlitwy krzyknęła:

— Do mnie, moje słońce! i chlebie mój biały! i mój kościele! i moja Przenajświętsza Matko! i kraju mój, wiaro moja, i mój Boże wcielony! Jakżem szczęśliwa, żem się tu urodziła i że tu umrzeć mogę dzięki miłosierdziu boskiemu. O! jakież dzięki winnam Niebu, że tam światła nie ujrzałam mój synu, tam ziemia herezyi, jakże obrzydliwa!

— Alboż herezya udziela się jak robactwo?—zagađnęła Ryta śmiejąc się.

— Tego nie mówię, Boże uchwaj—odpowiedziała dobra Marya—ale...

— Wszystko się udziela—przerwał Pedro—z wyjątkiem tego, co dobre, a najlepšíj zostać we własnym kraju. Dałbym za to głowę, że ci, co go opuszczają, niewiele na tém zyskują.

— Gdzieżto się nie włóczę ci biédni wojskowi?

— Dlatego właśnie zawsze ku nim miałam wielką skłonność—odrzekła Marya;—tak, dlatego, oraz, że bronią wiary Chrystusowej. Ztąd téż, wiele doznałam opieki św. Ferdynanda, tego pobożnego i walecznego wojownika. Jego obraz starannie zachowuję w moim pokoju, a na około muru

powycinałam z papieru małych żołnierzków, sądząc, że hołd ten będzie miłym dla tego, który był niemi otoczony za życia. Raz, pomnę, kiedy Ryta liczyła zaledwie lat dwanaście, poszłam do Sewilli, a ona mi dała reala na kupno małego grzebyczka. Przechodziłam mimo sklepu antykwaryusza, i spostrzegłam w oknie u niego malowanych żołnierzków. Jakazby to była straż dla mego świętego!—pomyślałam sobie. Lecz wydałam już wszystkie pieniądze, i miałam tylko reala Ryty, a arkusz z żołnierzami kosztował jak raz reala.—No, tłumaczyłam sobie: lepiej, że będzie brakowało Rycie téj drobnostki, aniżeli straży memu świętemu i kupiłam go.

Powiedziałam Rycie, że mi zabrakło pieniędzy, i nie kłamałam; lecz nazajutrz, gdy zaczęła oklejać mur żołnierzami, Ryta weszła:—„Jakto—krzyknęła—miałaś dosyć pieniędzy na kupno tych szkaradzieństw, a zabrakło ci ich na grzebień?”—To mówiąc, wyrwała mi z ręki moich żołnierzków, chcąc ich wyrzucić za okno. Dziecko—krzyknęłam, wyrzucając mych żołnierzków, wyrzucisz mi serce na ulicę!” Lecz widząc, że ona nic sobie z mych prośb nie robi, porwałam miotłę i zaczęłam ją okładać z całych sił. Zresztą, raz to pierwszy i ostatni ją biłam.

— Trzeba było częściej ją bić—wtrącił Pedro.

— Co za szczególny z ciebie człowiek, Pedro!—odrzekła Ryta. Matka moja błdziła nie karząc córki, a ja błądzę, nie pieszcząc swych dzieci. Lecz, kiedyś tak lubiła żołnierzków, matko, dlaczego dokładałaś tyle starań, ażeby uwolnić swego siostrzeńca Miguela?

— Lubie żołnierzków, już dlatego, że cierpią i muszą cierpieć nędzę i to jest powodem, dla którego chciałam uwolnić mego siostrzeńca—powiedziała Marya.

— Naśmiałam się wówczas, naśmiałam!—ciągnęła Ryta, zwracając się ku Venturze. Matka, podczas ciągnięcia losów paliła świece do Wszystkich Świętych. Ale, że nie miała lichtarzy, powydrażała skorupy z muszli, ponapełniała je piaskiem, ponałewała oliwy, powkładała knoty i chodząc od jednego do drugiego świętego usilnie ich błagała. W téjże chwili przybyła matka Miguela, z oznajmieniem, że jej syn wyciągnął los do wojska. Na tę nowinę, matka moja pogasiła wszystkie lampki, jakby chciała powiedzieć

do świętych: zostańcie teraz w ciemnościach, nie ma co z wami robić.

— Alboż to wolno tak się wyrażać, Ryto?—rzekła matka. Bóg nie sędzi serc w ten sposób. Podałam się moja córko, podałam, bo niebo ogłosiło swą wolę, a gdy Bóg nie chce, święci nie pomogą.

* * *

Jak żywą, tak krótką była radość Elwiry. Czyż nie nie może ująć wzroku téj, która kocha? Alboż to nie wiemy że są rzeczy równie zabójcze, jak wiatr Guadarrama. Ryta i Ventura nie zdawali jeszcze sobie sprawy z zachwyty i oczarowania wzajemnego, i nie domyślali się nawet, że Elwira już po raz drugi ofiarowała Bogu cierpienia zawiedzionej miłości, a tym razem bez żadnego promyka nadziei. Roztropna i spokojna przewidywała blizkie zerwanie, nieuniknione hasło jakiegóż katastrofy. Cierpiała jak męczenniczka w cichości a nigdy nie śmiała odepchnąć od siebie zimnych oświadczeń, uczucia bladego i wątpliwego jak ona, uczucia, które zniknęło powoli przy świetnym płomieniu nowej miłości. Odwiedziny u kraty okna co wieczór stawały się krótsze i ozięblejsze. Jednakowoż nie nadarzyła się sposobność, w którejby giesta, spojrzenia, słówko spotkać się mogły przy zgodnym biciu serc dwojga kochanków. Na podobieństwo motylów, lubili przybliżać się do płomienia, dając się uwodzić tajemnemu pociągowi, z którego zdać sprawy sobie nie umieli i nie znajdowali żadnych przeszkód. Rzecz to bowiem prawie nieznana po naszych siolach, żeby kobieta zameżna zapominała o swych obowiązkach i narzeczony nie pozostał wierny swym przyrzeczeniom; mianowicie zaś w rodzinie, której dzieje kreślimy, było to niepodobieństwem. Lecz Ryta nie znała hamulca, a wojaczka była dla Ventury oplakaną szkołą obyczajów.

Raz, zanim poszedł w pole, Peryko rzekł do Elwiry, którą spotkał siedzącą na dziedzińcu:

— Siostro, oto masz pieniądze; kup sobie za nie suknię kolorową, gdyż czarny ten ubiór, któryś postanowiła nosić aż do powrotu Ventury, już nie przypada; od téj chwili chcę żebyś równie twarzą, jak i ubranie okazywała wesołość.

— Bracie, schowaj pieniądze—odrzekła Elwira, załedwie mogąc się od łez powstrzymać. Codziennie czuję,

że się moje zdrowie pogorsza; lepiej będzie (co wkrótce pono nastąpi) połączyć się ze Stwórcą, aniżeli wdziewać szatę weselną: na cóż zrzucać dziś suknię w której jutro może do grobu mię włożą?

— Nie mów tego siostró! — zawołał Peryko — mieczem boleści przeszywasz mi serce. Już to taki masz teraz zwyczaj; ciągle ci się jakieś czarne myśli snują po głowie. Kiedy będziesz szczęśliwą z Venturą, jak ja z Rytą, i jak da ci Pan Bóg dwoje takich dzieciaczków jak nasze, które ci radość przyniosą, odpędzisz daleko od siebie wszystkie smutne myśli. — Malce, dodał biorąc je na ręce, dalejże, bawcie swą ciotkę.

Elwira pożegnała brata spojrzeniem, serce jęj rozdzierała boleść tém srożej i głębiej, że ją tłumiała, uważając wszelką skargę jakaby mogła się z jęj ust wydobyć za nieroztropny krzyk trwogi, nie mogący zakłąć złego, na które od téj chwili nie było już lékarstwa.

— Ciociu — rzekł Angel — nie ma sposobu zatrzymania Melampa w domu, jak tylko ojciec wyjdzie z domu.

— Czyni, co powinien, jest bowiem dobrym psem — odrzekła Elwira.

— A dlaczego nazywa się Melampo? — ciągnęło dziecko z tą nienasyconą ciekawością, jaka jest właściwą młodemu wiekowi.

— Dlatego — odrzekła dobra i słodka Elwira — że to jest nazwa jednego z tych psów, którzy towarzyszyli pasterzom śpieszącym do Betleem dla widzenia Nowo-Narodzonego. Było ich trzech: Melampo, Cubilon i Lobina; a psy noszące te nazwy nie wściekają się nigdy.

— Ciociu — zawołała Angelita kręcąc się za ptaszkiem — nie mogę złapać téj jaskółki.

— To nie jaskółka, dziecko moje. Jaskółki z wiosną dopiero się zjawiają; nie można nigdy ich łowić, ani im czynić co złego.

— Dlaczego, ciociu?

— Dlatego, że to są przyjaciółki człowieka; mają w nim zaufanie i budują swe gniazdko pod jego dachem; oneto również wyrywały ciernie z korony Zbawiciela, wiszącego na krzyżu.

W téj chwili Angel upadł i zaczął płakać. Ryta śpiesznie podbiegła a ściskając go:

— Coś sobie złego zrobił—rzekła doń—co ci jest, matczyzna pociecho? Potém obciérając mu fartuchem twarz, którą upadając powalał sobie:

— Co ci jest ciągnęła, mój aniołku, całys pyłem okryty? Błogosławione niech będą te oczy, i ta buzia, i te śliczne rączki!

I tak litując się nad nim i okrywając pocałunkami, zaprowadziła go wraz z Angelitą do domu swéj matki. Sama zaraz powróciła, wzięła swą bieliznę i poszła na podwórze, do pralni.

Podwórze to przytykało do domu wuja Pedro, od którego rozdzielał go tylko mur niski.

Ryta wedle krajowego zwyczaju, wkrótce śpiewać poczęła.

Pomiędzy ludem andaluzyjskim przechowało się mnóstwo piosnek, tak rozmaitych w pomyśle i formach, że łatwo znaleźć nie jedną do każdego przedmiotu myśli i uczucia odpowiednią.

Głos dzwięczny i sztucznie cieniowany, odpowiadał z sąsiedniego domostwa. Tak więc w ten sposób śpiewano rozmowę, którą głos mężki kończył tą wiele dającą do myślenia strofką:

Co chcę dokonam,
Wzlychać nie trzeba;
Ani ślać z wiatrem
Skargi do nieba.

Podczas tego dyalogu, Elwira pracowała obok matki; oblicze jéj czyste i pogodne nie wydawało męczarni serca. Anna wszelako spoglądała na nią z przenikliwością matki i mówiła sama do siebie: „Czy nadzieje, jakie zakładałam sobie na powrocie Ventury zawiodą? Czy go Bóg przeznaczył dla niej?”

Zadyszane dzieci wbiegły.

— Babciu, ciciu Elwiro, krzyczały, wuj Pedro powiedział, że dziś w nocy oślicy urodziło się oślątko, a myśmy go nie widziały: chodźmy go zobaczyć, chodźmy go zobaczyć!

I jedno ciągnąc babkę, drugie ciotkę, wszyscy wyszli na podwórze, gdzie była stajnia, i otworzyli wrota.

Jakaż boleść przeszła serce Anny, kobiety uczciwój, kochającój matki! Ventura był z Rytą.

Nagle jak błyskawica, Ventura wskoczył na koło od wozu i znikł za murem.

Ryta, rozzłoszczona do najwyższego stopnia, jak gdyby nie się nie stało, wzięła się znów do prania, i z udaną spokojnością zaczęła sobie nucić:

Kto mi da szczęście
Ewy, Adama,
Którzy nie znali
Co druga mama;
Będąc zrodzeni
W doli szczęśliwój,
Nigdy nie mieli
Świekry złośliwój.

Dzieci biegły nie zatrzymując się aż do stajni. Ale Anna natychmiast odprowadziła swą córkę napoły umarłą do domu i tu na łonie matki, dla której od téj chwili przyczyna jój boleści nie była tajną, Elwira wybuchła głośném łkaniem.

— I ty o tém wiedziałas! — rzekła do niój matka — milcząca męczenniczko roztropności! Płacz, tak, płacz teraz; łzy są jak krew, co wycieka jak z rany i ból łagodzi. Wiedziałam o tém dobrze co ona za jedna, i uprzedziłam o tém Peryka. Wiedziałam, że kłatwa ciąży nad związkiem krewniaków, i to mu przepowiadałam. Nie chciał mię słuchać. Byłoby lepiej żeby poszedł na wojnę!

Ryta jakby szydząc ze wszystkich, wciąż śpiewała:

Gdyby na woz bratowe
Oraz swiekrę spakować!
Piekło takim ładunkiem
Mogłoby się radować!

* * *

Ryta szła, gdy weszła jój świekra. Lekko zasunąwszy za sobą rygiel od drzwi, usiadła naprzeciw synowój.

— Wiész już Ryto — rzekła do niój z boleścią a rzewnie, — że twoje małżeństwo nigdy nie było mi po myśli.

— I przyszłaś może żebym ci za nie złożyła dzięki?
— zuchwale odparła Ryta

Anna udała że na to nie zwraca uwagi i dodała:

— Co do mnie, rozumiałam cię bardzo dobrze.

— O! na to nie trzeba być sławnym wieszczkiem—zawołała Ryta—żyję cała otwartością; mówię co myślę i jak myślę.

— Nie w tém nieszczęście, że mówisz co myślisz, ale w tém, że myślisz, co mówisz.

— Widzę to, zapewne, że lepiej gdybym była *cichą wodą* jak inne, które wydają się płatkami śniegu a są przecie ziarnkami soli.

Byłto przytyk do Elwiry. Annę boleśnie to dotknęło, lecz nie przywiązując do tego wielkiej wagi dodała:

— Lecz omyliłam się; nie znałam cię wcale.

— Nigdy nawet przypuszczać nie mogłam—ciągnęła Anna—że rzeczy zajdą tak daleko...

— Strzeż się teraz! będzie lało jak z cebra—rzekła Ryta, robiąc nieprzyjemną minę, i z gorączkowym pośpiechem szyć zaczęła.

— Skoro wcale ci nie trudno oszukiwać mego syna....

— A! otóż jesteśmy w domu!—zawołała Ryta z zimnym bezwstydem.

— I zabijając mą biedną córkę!....

— Czy to już wszystko? przerwała Ryta. Że Ventura nie chce się żenić z widmem, które stoi nad grobem, to cóżem ja temu winna? że jest wesołego usposobienia i że pragnie bawić się ze mną, co również i mnie się podoba, i tę rozrywkę woli, niż pić z nią topolówkę (1), cóż mogę na to poradzić?

Anna pozwoliła Rycie skończyć, nie okazując na obliczu bólesci duszy, tylko bladeść śmiertelną.

— Ryto—rzekła do niej, gdy ta skończyła mówić—męzátka nie może się bezkarnie kompromitować.

— Co mówisz?—zawołała Ryta, podskoczyła na równe nogi i rzuciwszy w kąt płótno, twarz jęj oblała się szkarłatem, a oczy zapłoneły:

— Co wyrzekłaś senoro? Ja skompromitowana! I to za jedno i drugie spojrzenie, jak gdybym mogła schować oczy w kieszeń. Skompromitowana! zhańbiona! Tyś tego zawsze chciała, jako świekra, zła świekra; lecz nigdy

(1) Lekarstwo na piersi.

się nie spodziewała, żeby pobożne dusze mogły się kiedy dopuścić takiego kłamstwa.

— Nie mówię, że jesteś skompromitowaną — odparła Anna tym tonem poważnym i umiarkowanym, jaki potrafiła utrzymać od początku rozmowy — lecz że dążysz do tego, żebyś nią została i będziesz nią wkrótce, jeśli Bóg nie pomoże, otwierając ci oczy.

— Zawsze wkółko jedno i to samo prorokujesz! Drugi Jonasz! I dodała przez zęby: wieloryb mógł cię połknąć tak samo!

— Tak, Ryto, tak; przychodzę...

— Aby mi pogrozić — przerwała Ryta z postacią wyzywającą.

— Nie, Ryto, nie, moja córko! — odparła szlachetna niewiasta głosem wzruszonym i drżącym — przychodzę cię błagać w imię Boga, i na miłość dla mego syna, na szacunek dla twych krewnych i dla twego własnego szczęścia, abyś się zastanowiła nad tém, co chcesz uczynić, ażebyś przeszła sama w siebie: jeszcze masz czas.

— Czy Peryko dał ci zlecenie?

— Nie, syn méj duszy nie domyśla się niczego; a niech nas Bóg strzeże, żebyśmy mieli wywoływać wilka z lasu.

— Doniesionoby mu z pewnością — rzekła — że trzody rozgospodarowały się w jego zbożu...

Przy tych słowach, Ryta porwała się z gniewem i opuściła świekrę.

* * *

Nazajutrz, było Boże Narodzenie. Peryko wcześniej wyszedł i nie powrócił cały ranek.

Nadeszła godzina obiadowa, a Peryko jeszcze nie powracał.

W Boże Narodzenie, dziwném było to opóźnienie; ale że na wsi nie ma stałej pory do jadła, nie bardzo się o to kłopotano.

Wieczorem, Pedro i Marya przyszli o zwykłej godzinie; lecz sami.

— Czy Ventura dziś nie był? — zapytała Anna.

— Nie, — odrzekł Pedro — lecz tam świętuje, bo go pewno przyjaciele gdzie wciągnęli; tak zawsze lubił taniec, że gotów był nie jeść dla fandanga.

— A Ryta, ciotko—zapytała Elwira—nie była u ciebie?

— Owszem, moja córko, była; lecz poszła jak to przy święcie, z sąsiadką. Mówiłam jój, iż lepijby zrobiła, gdyby została; lecz że ona nigdy na to nie zważa...

— A miałaś słuszość, Maryo—przerwał Pedro—uczciwa niewiasta nie włóczy się, lecz domu pilnuje.

Byli smutni i milczący, gdy nagle wszedł Peryko.

Słabe światło lampy, przyćmione jeszcze umbrellą nie pozwalało dostrzedz wzburzenia, panującego w całej jego postaci. Ślady, zdradzające jak się zdaje, długie godziny cierpienia otaczały błyszczące jego oczy; suche i czerwone jak ogień wargi były widocznym znakiem gorączki go pożerającój.

Rzucił nagle spojrzenie dookoła siebie i zapytał porwczco:

— Gdzie Ryta?

Wszyscy zachowali milczenie, wreszcie Marya odrzekła nieśmiało:

— Mój synu, ona poszła tylko co na zabawę... chciała się trochę rozerwać... Zwyczajnie jak w Boże Narodzenie... lecz pewno niezadługo powróci.

Peryko wybiegł natychmiast, nie rzekłszy i słowa.

Matka jego podniosła się spiesźnie i dążyła za nim; lecz nie mogła go dogonić.

— Mówiłem ci to, matko Maryo—rzekł Pedro—Peryko nie źleby zrobił, żeby jój dał maleńką burę, a jabym mu nic zato nie powiedział.

— Nie mów tego Pedro—odpowiedziała Marya—Peryko nie taki człowiek, żeby miał się targnąć na żonę. Ryta lubi się bawić. Cóżby tak złego było, żeby kilka chwil potańczyła? Starzy, Pedro, nie powinni zapominać że i oni niegdyś byli młodzi.

Anna powróciła wielce pomieszana.

— Pedro—rzekła—idź sam na zabawę.

— Ja!—odparł Pedro—dobraś sobie. Jużem wrócił oddawna.

— Pedro, idź na zabawę—powtórzyła Anna, lecz na teraz już z wyrazem takiego utrapienia, że Pedro zwrócił głowę ku niej i ciągle na nią patrzył.

Anna wzięła go pod rękę, podniosła i pociągnawszy z sobą na bok, przemówiła doń kilka słów gwałtownych pochichu.

Starzec wydał głuchy krzyk, skrzyżował ręce na czole, porwał za kapelusz i wybiegł prędko z izby.

* * *

Ventura i Ryta tańczyli na zabawie ożywieni tém wszystkiém, co zapala głowy młode i niedoświadczone, zaślepia rozum, każe milczeć roztropności i nie dba o szacunek ludzki: a taką zabawę podsycia wino, miłość zmysłowa, nieskromny taniec i upojenie się głupiemi oklaskami tłumu.

Na prawdę, pyszna to była para Ventura i Ryta. Świeża i promieniejąca, z głową przystrojoną kwiatami, Ryta się poruszała w tańcu a kibić jęj bujała z tą nie do naśladowania właściwą Hiszpankom gracyą, która potrafi być wedle chęci, jużto skromną, już swawolną. Czarne jęj oczy błyszczały jak brylanty, a w ręku kastaniety, niby rękawica rzucona napastnikom; Ventura był dla nięj dobranym tancerzem, i współzawodniczył z nią pod względem wytworności w ruchach. Nigdy nie widziano tańczących fandanga z większym powabem i urokiem.

Zachwyceni widzowie, zaimprovizowali, jak zwyczaj mieć każe, kilka wierszy na cześć tak pięknej pary; śpiewali:

Tańczącej kwiaty
Dajcie z miłością,
Ma do nich prawo
Swoją pięknością.

Ventura i Ryta
Szczęśliwi, weseli,
W téj nocy godowej
Palmę zwycięstw wzięli.

Te ostatnie słowa przebijały powietrze, a uderzenia rąk i oklaski podwoiły się, skoro wszedł Peryko. Zatrzymał się na samym progu, lecz wszyscy zanadto byli zajęci zabawą, żeby spostrzedz mieli jego obecność. Sam Ventura wprowadzając Rytę szybkim krokiem do ubocznej komnaty dla ochłodzenia, przeszedł mimo niego, nie spostrzegłszy go nawet. Lecz Peryko za to dobrze zasłyszał słowa, jakie Ventura i Ryta zamieniali między sobą; słowa te potwierdzi-

ły całą przeczuwaną jego niedolę, całą podłość téj którą tak był ukochał, matki jego dzieci i całą zdradę przyjaciela, brata.

Cios był tak straszny, że nieszczęśliwy przez chwilę pozostał jakby ogłuszony; lecz odzyskawszy zaraz przytomność poszedł w ich ślady.

Ryta stanęła w zwierciedle, chcąc poprawić kwiaty, zdobiące jéj włosy.

— Tracisz czas!—rzekł do niéj Ventura—na co te różę? Alboż nie wiesz, że one więdną zawsze z zazdrości na głowie pięknej kobiety?

— Słuchaj Venturo—rzekł głos jakiś w gronie zebranych—widzę że owoc zakazany smakuje ci bardziej anizeli swój.

— Mnie—odparł Ventura—dobry owoc smakuje zawsze, czy zabroniony, czy nie.

— To hańba!—zawołał jeden z przyjaciół Peryka.

— Milcz, nieszczęśliwy!—rzekł doń sąsiad, ciągnąc go za rękę. Nie widzisz-że, on pijany. A co ci się w to mieszać, jeżeli Peryko, którego to najwięcej obchodzi, zezwala na to?

— A któżto taki ośmiela się występować z twierdzeniem: że Peryko Alvareda zezwala na hańbę?—krzyknął mąż Ryty przeciskając się przez tłumy, blady, jak gdyby wyszedł z grobu.

Na głos swego męża, Ryta przecisnęła się jak wąż w pośród pijanych i znikła.

— Baczne daje oko na swą żonę—odezwało się ze śmiechem kilku młodych wartogłowów, stanowiących niby rodzaj orszaku dla nieustraszonego wojaka i zgrabnego tancerza.

— Mości panowie—rzekł Peryko, skrzyżowawszy ręce na piersi, jakby chciał powstrzymać swój gniew—czy moja postawa dostarcza wam przedmiotu do żarcików?

— To, lub co innego—odpowiedział Ventura.

I wszyscy parsknęli.

— Jesteś bardzo szczęśliwy—odparł Peryko głosem tłumionym od gniewu—że nie mam broni!

— Milcz!—krzyknął Ventura—*mile niewiniątko* chciałoby zostać walecznym! Porzuć przechwałki, święty czło-

wieku, nie szukaj kłótni, lecz idź raczej doglądać swoich drogich dzieciak!

Przy tych słowach, Peryko rzucił się na Venture, który zachwiał się od tak strasznego napadu; lecz podnosząc się natychmiast pochwycił Peryka silnie i zwinnie, jak to było jego zwyczajem, i przewróciwszy go na ziemię, nastąpił mu kolanem na piersi, a następnie ścisnąwszy go za gardło obiema rękami, powtarzał jak wściekły:

— Ty! ty! ja cię mogę rozgnieść w palcach, a ty śmiałyś podnieść rękę na mnie! Ty! hultaju, zmokła kuro, wychowana pod spódnicą u matki, ty porywasz się na mnie?

Pedro wybladł, przybył w tej chwili.

Ventura, widząc ojca, puścił Peryka i skoczył na równe nogi.

— Tyś pijany!—rzekł Pedro, uniesiony oburzeniem i boleścią. Pijanyś i w dodatku złém winem.—Do domu!—dodał—popychając go za kark—do domu i ruszaj przedemną.

Ventura był posłusznym nie opierając się, gdyż słowa Pedra nie były jeno *głosem* ojca, brzmiącym mu w uszach, lecz jeszcze *głosem* rozsądku, sumienia i serca. Szlachetne jego popędy zbudziły się, wstydił się napaści, której był bohaterem, i głównego powodu, wiodącego do niej. Z pochyloną głową wyszedł za swym ojcem.

Podniesiony Peryko, potrosze przychodził do siebie z zawrotu głowy, jakiego dostał przez duszenie Ventury. Potarł ręką spocone czoło, rzucił na otaczających spojrzenie lwa zranionego i uwikłanego w sieci, i wyszedł, szeptając głosem przytłumionym:

— Zgubił nas obydwóch!

Kiedy Venture zabierał z sobą ojciec, młodzi ludzie, z jego przyjaciół nie śmieli się sprzeciwiać.

— Ta sprawa tak nie zostanie—rzekł jeden potrząsając głową.

— To bardzo prawdopodobne—rzekł drugi—przecież on go tu nie na żarty pobił. Chybaby jaki święty a nie człowiek to znieść potrafił!

— Czy aby nieszczęśliwa nie zasłużyła na osadzenie u *Repentyanek* (*Siostr Żałujących*) (1) do końca życia?—dodał trzeci.

(1) Klasztor, w którym kobiety złego życia, a żałujące za grzechy, szukają schronienia.

Gdy się to dzieje, Peryko przybył do domu, powtarzając co chwila:

— Zmokła kura! tchórz!... i to on mi to powiedział, on! *Mile niewiniątko!* Czy mię kto kiedykolwiek w życiu tak poniżył, podeptał nogami; zbezcześcił, jak on teraz? O! dam ja mu!

Wszedł do izby i wziął za strzelbę.

— Tato!—zawołała cienkim głosikiem Angela z sąsiedniej alkowy—tato! my jesteśmy same.

— Będziecie jeszcze bardziej same, kiedy się wszystko skończy,—szeptał Peryko nie odpowiadając swoim dzieciom.

Dziatki nie przestawały wołać:

— Tato! tato!

— Nie macie już tatki!—krzyknął Pedro i wyszedł na podwórko.

Oparł strzelbę o pień pomarańczowy, chcąc ją nabić, lecz broń wymknęła mu się z ręki, i upadła na ziemię.

Peryko chciał odejść, gdy wtém nagle stanęła przed nim matka. Czcigodna wdowa, której niespokojność spać nie dawała, słyszała jak jéj syn wchodził.

— Gdzie idziesz, Peryko?—zapytała.

— W pole; mówiłem ci już, że kozy po kilkakroć pasły się w naszym zbożu.

— Czy byłeś na zabawie?

— Byłem.

— A Ryta?

— Jéj tam nie było; matka Marya baje trzy po trzy.

Anna odetchnęła wolniej, jakkolwiek porywczosć tak mało właściwa jéj synowi i ta cierpkość odpowiedzi nadzwyczaj zadziwiły ją i zatrwożyły.

— Nie idź w pole o téj godzinie, mój synu,—rzekła doń tonem błagającym.

— Żebym nie szedł w pole, a to dlaczego?

— Alboż ja wiem? Dlatego, że serce mi mówi, żeś nie powinien wychodzić, a wiesz że serce moje nie zawodzi mię nigdy.

— Tak, *wiem o tém*—odparł Pedro z taką goryczą, że matka jego lękać się zaczęła, czy może nie zastawszy Ryty na zabawie, nie powziął jakich strasznych podejrzeń.

— Skoro tedy wiesz o tém, to nie wychodź—odparła.

— Senora—odrzekł Peryko—kobięty rozjątrząją niekiedy mężczyzn, kiedy chcą nimi rządzić; wychowano mię, mówią, *pod twą spódnicą*, i chcę popołować sobie samotnie.

I skierował się ku wrotom.

— Dobrzeżto mój synu?— szeptała biedna matka;— Wielki Boże! co mu się stało!

Kiedy Peryko otwierał wrota, wierny jego towarzysz, Melampo, przybiegł do niego.

— Precz!—krzyknął nań Peryko, uderzywszy go nogą.

Biędne zwierzę, nieprzywykłe do złego obchodzenia się z nim pana, cofnęło się całkiem zdziwione; lecz z tym samym zupełnym brakiem urazy, który czyni z psa wzór wierności, rzucił się do wrót chcąc ścigać swego pana: zastał je już zamknięte. Zaczął tedy żałośnie wyć, co dowodzi jak prawdziwy jest instynkt tych zwierząt, kiedy swemi jękami zwiastują blizkie nieszczęście.

* * *

Sen uspokoił już w Venturze ostatnie ślady szału. Na drugi dzień wstał do głębi upokorzony, i szczerą skruczą przejęty za to co uczynił zeszłej nocy, wysłuchał z uszanowaniem sprawiedliwych i surowych wyrzutów, jakie mu czynił ojciec.

— Miałeś najzupełniejszą słusność ojcze,—rzekł;—i mogę ci tylko odpowiedzieć: nie wiedziałem co robiłem. Cięży mi to bardzo na sercu; wino, przekłete wino! Dam zadosyćuczynienie Perykowi w obec wszystkich; gdyż sądzę, że to mi równy zaszczyt przyniesie jak to, żem go tak znieważył.

— Dasz więc zadosyćuczynienie Perykowi?

— O! jak najpewniéj.

— I zaślubisz Elwirę?

— Z największą ochotą.

— Czy ją uszczęśliwisz?

— Przysięgam na ten krzyż—rzekł Ventura, żegnając się ze skruczą.

— I pójdiesz do Alkali?

— Ojcze, wszędzie gdzie każesz, nawet na Gibraltar.

Pedro chwilę popatrzył na swego syna, głęboko wzruszony, i rzekł doń:

— Kiedy tak, dziecię moje, to niechaj cię Bóg błogosławi!

Poszli zaraz do domu Anny; lecz z ust jój dowiedzieli się, że Peryka nie było.

Ich odwiedziny, chęć zadosyćuczynienia i radość malująca się na twarzy Pedra, ukoiliły prózną lecz niepokojącą trwogę Anny. Ale to najwięcej nadzieją napełniło jej serce, skoro ujrzała, że Ventura zbliża się do Elwiry, mówi do niój czule i z pełnym troskliwości niepokojem, podczas gdy Pedro przemawiał do niój z miną tajemniczą i wskazując spojrzeniem na swego syna:

— Ten chłopiec ma ochotę jak najprędzej się ożenić; nie zbyt aby opóźniajcie przygotowania weselne: młodzież nie tak jak my cierpliwa.

Wkrótce wyszli, Ventura poszedł na folwark, którego doglądał, a Pedro w pole, obaczyć zboże. Z początku tą samą szli drogą.

Zboże było piękne, tylko wiele w niém było zielska.

— Zielsko kwitnąć w najlepsze zaczyna, — rzekł Ventura.

— Z czasem — odpowiedział Pedro — zielsko przygłuszy zboże, gdyż jest ono prawowitym płodem ziemi, a zboże to jeno wychowankiem jój powierzonym; lecz dzięki Bogu, nie zabraknie zboża na nasz dom — i dodał śmiejąc się — dla tych wszystkich, co mogą jeszcze do nas przybyć.

Pożegnali się, a Ventura zapuścił się w pole oliwne.

Pedro rzucił za nim tkliwe ojcowskie spojrzenie.

— Takiego syna — rzekł do siebie — o nie! nawet król nie ma. W Hiszpanii całej nie znajdzie mu równego. Postać piękna, ani słowa, ale dusza piękniejsza jeszcze.

Zaledwie Ventura postąpił kilka kroków w plantacyi, gdy nagle ujrzał wychodzącego z poza drzewa Peryka ze strzelbą.

— Dzięki ci! — krzyknął Peryko — mam jakieś powiedział coś w twarzy, co żart wzbudzić może; lecz mam takie coś w ręku co wstrzymuje od żarcików. Jestem niewieściuchem i hultajem; ale potrafię pomścić się za sromotę, jaką mi wyrządziłeś.

— Peryko, co chcesz uczynić? — zawołał Ventura, przybliżając się aby powstrzymać dłoń jego.

Ale strzał błysnął; Ventura upadł: był śmiertelnie ranionym.

Pedro usłyszał strzał i zadrżał.

— Co to jest? rzekł do siebie. Widocznie, dodał po pewnej rozwadze, Ventura strzelił do kuropatw. Lecz nie... Strzał padł bardzo blisko: choćmy zobaczyć.

I biegł pośpiesznie ku ścieżce, którą poszedł Ventura: ujrzał ciało leżące na ziemi. Zbliżył się... Boże wielki! człowiek rozciągnięty na ziemi raniony śmiertelnie, w krwi własnej brodzący, a tym człowiekiem syn jego.

Nieszczęsny starzec upadł obok Ventury.

— Ojcie — przemówił doń Ventura — opamiętaj, się pomóż mi powstać; jeszcze mam siły, dojdę do folwarku, a ty poproś księdza, gdyż chcę umrzeć po chrześcijańsku.

Bóg miłosierdzia dodał sił biednemu starcowi: podniósł syna, Ventura wsparty na ramienia ojcowskiem próbował iść, powstrzymując jęki, jakie mu boleść sprawiała.

Z folwarku usłyszano głos żałosny, wołający o pomoc: wszyscy pośpieszyli i ujrzeli idącego drogą nieszczęśliwego ojca, podtrzymującego umierającego syna.

— Księdza! księdza! szeptał głosem gasnącym Ventura.

Parobczak dosiadł oklep najszybszego bieguna i puścił się cwałem do miasteczka.

— Chirurga! chirurga! — krzyczał ojciec.

— I sprawiedliwości! — dodał dzierżawca folwarku.

Położono Venturę na materacu i starano się mu zatamować krew z rany płynącą.

Tak przeszła godzina, pełna boleści i przestachu.

Wtém dał się słyszeć przyspieszony tentent koni. Słuchający powracał właśnie w towarzystwie kapłana; najpierwsza pomoc, jakiej żądano przybyła: była to pomoc religijna.

Kapłan wszedł niosąc na piersi świętą Eucharystyą.

Wszyscy obecni ukłękli, a nieszczęsny Pedro znajdował niejaką pociechę że ma pomoc chrześcijańską.

Zostawiono księdza i rannego samych. Na całym folwarku panowało uroczyste milczenie, przerywane jedynie łkaniami Pedra.

Sługa boży wyszedł z pokoju. Słodki spokój rozlał się na obliczu umierającego.

Chirurg który był już przybył, wszedł następnie.

Opatrzywszy ranę, zwrócił się smutnie kiwając głową, do otaczających.

Pedro który z konwulsyjnie złożonemi nakrzyż rękoma, z goryczą wyczekiwał zdania lekarza, upadł jak długi na ziemię: przeniesiono go do przyległej izby.

Teraz przybyli alkade i pisarz sądowy; zbliżyli się do Ventury: oczy miał zamknięte, a bladość śmiertelna pokrywała jego lice.

— Senor alkade — rzekł chirurg — nie trzeba robić żadnego zeznania: on umiera.

Słowa te doszły do uszu Ventury.

Z właściwą sobie energią otworzył oczy i wymówił wyraźnie:

— Pytajcie: mogę jeszcze odpowiadać.

— Co była za przyczyna twój śmierci?

— Ja sam.

— Kto cię zabił?

— Ktoś, komu przebaczam.

— Przebaczasz więc swemu zabójcy?

— Tak, w obec Boga i w obec ludzi.

Te były ostatnie słowa Ventury.

* * *

Kobiety zebrały się u Anny. Żadna, wyjąwszy Ryty, nie wiedziała o wypadkach nocy poprzedniej; a jednak panowało pośród nich głucho milczenie. Naiwne nawet gaudulstwo Maryi jeszcze się nie objawiało.

— Nie wiem dlaczego — rzekła wreszcie — ale dziś czuję, że mało mi serce nie pęknie.

— Tego samego doświadczam — dodała, jakiś mi jakby ciężar leży na sercu; oddychać prawie nie mogę. Czy to skutkiem powietrza? może burza będzie, ciotko Maryo?

— Biędne dziecię! pomyślała Anna, lekarstwo przychodzi zbyt późno! ziemia dopomnina się o jej ciało, a niebo o duszę.

— Eh! co mi tam, ja jaka byłam taka i jestem — rzekła Ryta — ale co ja, to niespokojność prawdziwie pożera.

Angela czule kołysała swą lalkę, a głos jej jedynie przerywał milczenie, które po tych kilku słowach nastało. Śpiewała tę słodką i jednostajną melodyą, *nana*, którą

niektóre matki umieją powtarzać z prostotą i zachwycającą słodyczą:

Objęcia moje wciąż ciebie strzegą,
Oczy me patrzą w ślad ci nieśmiele.
A gdy cię one w drodze odbiegą
Co poczniesz wtedy o mój aniele?
Lecz te malutkie aniołki z nieba...

.

Ten śpiew dziecięcy przerwał nagle poważny i silny głos dzwonu. Dźwięki jego zniknęły coraz to bardziej w powietrzu, jak gdyby uciekały w dal odległą.

— Niosą Przenajświętszy Sakrament dla umierającego — wyrzekły wszystkie kobiety podnosząc się.

Anna jęła się głośno modlić za tego, komu niosą święty wiatyk.

— Dla kogo? — rzekła Marya — nie znam nikogo niebezpiecznie chorego na wsi....

Ryta pobiegła do okna i spytała przechodzącej niewiasty, kto to chory?

— Nie wiem — odrzekła. Inna kobieta zbliżyła się mówiąc: „Jezu! a toć to morderstwo! Za proboszczem idą pośpiesznie alkade i chirurg.”

— Niech Bóg świeci nad jego duszą! zawołały wszystkie ze zgrozą i z tém głębszym wzruszeniem, jaki sprawia ten wyraz: zabójstwo!

Głos dzwonka znów dał się słyszeć: dźwięk uroczysty, dźwięk ponury oznajmiał ludziom że jeden z braci kona w mękach i że wkrótce ma stanąć przed strasznym sądem.

Kobiety zachowywały głębokie milczenie, lecz wszystkie głęboko były wzruszone.

— Jakże mi czas długim się wydaje! — rzekła na koniec Marya — jakby słońce było przykute do nieba.

— Ten co nie wie — rzekła Elwira — podobien temu, co nie widzi: traci cierpliwość. Być może, że tego nieszczęśliwego jaki łotr zabił.

— A może przypadek — rzekła Marya.

— Babciu Anno — rzekła Angelita — kto zabił człowieka i dlaczego ludzie się zabijają?

— Któż może wiedzieć, dziecię moje, dłoń czyja poważyla się zastąpić ramię Boga, i zgasła pochodnię, którą Bóg sam jeno może zapalić.

W téjże chwili mieszkańcy wioski, wiedzeni ciekawością zaczęli się zbierać na ulicy, wydawali okrzyki zgrozy i litości.

— Co to? — zapytała Ryta, zbliżając się do okna.

— Niosą tędy umarłego — odpowiedziano.

Elwira tajemną pociągnięta siłą, zbliżyła się do okna.

— Zostań Elwiro — rzekła do niej matka — wiesz przecież, że widok umarłego zawsze ci przykre sprawia wrażenie.

Elwira nie usłuchała, gdyż już rozległ się gwar tłumu, który otoczył trupa i jego orszak.

Anna i Marya poszły też na balkon. Zwłoki zmarłego położone na koniu płaszczem były owinięte.

Starzec postępował za nimi, podtrzymywany przez dwóch ludzi, a głowę zwiesił na piersi.

Niewiasty spojrzały.... Boże, wszak to Pedro!

Wydały krzyk jednoczesny.

Pedro to usłyszał, podniósł głowę i ujrzał Rytę... Rozpacz, gniew go opanowały. Gwałtownie wyrwał się tym, co go podtrzymywali, podbiegł do konia, i podnosząc płaszcz, odkrył skrwawione ciało Ventury, na piersi którego głęboka widna była rana:

— Patrz, nieszczęsna — zawołał na Rytę — twoje to dziecko! Peryko go zabił!

(Dalszy ciąg nastąpi).

